№ 21.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1842. Poznan, dnia 12. Października.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

RUSINKA.

Powieść z prawdziwego zdarzenia,
przez
LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

— Cyt Ołeno, cyt gołąbko moja—jeżeli tak będziesz szlochać bez ustanku, rozpłyniesz się we łzach jak śnieg pod wiosnę, a twój narzeczony za powrotem z wojenki niepozna cię nawet czyś ta sama Ołenka, czy nie. — Bóg wie kiedy go zobaczę! rzekła młoda dziewczyna ocierając piękne czarne oczki końcem fartuszka—nasze parobki skoro raz pójdą w sołdaty nieprędko zobaczą się ze swoją strzechą i ze swoimi... Tém więcéj, że jemu tak do twarzy w krasnym mundurze na bystrym koniku, oj niedostanie tak rychło odpustki! Starszych tam nieobchodzi życie prostego sołdata — przyjdzie kulka, zabierze — druga matko, dawaj syna! — taj po wszystkiemu.

— Powiadał mi pop dobrodziéj, że wojna niedługo się skończy — mówiła znowu staruszka nawijając przędziwo na kądziel — powiadali i obcy ludzie, że wielką moc Turka zabrano do niewoli.

— Święciły by się wasze słowa! rzekła Ołena z westchnieniem; a gdy nadzieja w prostych i czystych duszach łączy się zwykle z uczuciem religijném, przeżegnała się pobożnie przed obrazem Bogarodzicy kijowskiéj wiszącym nad łóżkiem.

W tém pieśń z kilkunastu głosów, przy wtórze skrzypek i basa odezwała się ciągnąc przez sioło; coraz dźwięki stawały się wyraźniejsze; Ołena otworzyła drzwi od izby, chcąc przypatrzyć się weselnemu orszakowi, który zmierzał ku karczmie. Nowożeńcy przybrani w weselne szaty, ona w wianku rucianym, on z bukietem u czapki, postępowali w towarzystwie młodych druchów i drużek; za nimi poważniejsze grono ojców i matek, a na końcu starostowie siwobrodzi zamykali orszak. Prawdziwy obraz życia w trzech jego kolejach: młodość z swojemi niewinnémi marzeniami, wiek dojrzały co się zastanawia nad każdą przyjemnością i starość trzymająca miejsce między swémi wspomnieniami, a tajemnicą przyszłego świata.

— Jakżesz oni szczęśliwi! rzekła żałośnie Ołena wracając do izby, ja tylko biédna, niemam nawet nadziei.

— Dziecko moje, ozwie się nato matka z łagodną pogróżką, nie obrażaj Pana Boga, kto wie jaki ci los przeznacza.

Gdy wymawiała te słowa, ktoś wchodził z hałasem do izby — był to ekonom. Poczciwa kobiecina i przestraszona i zdziwiona razem, upuściła wrzeciono i niski pokłon oddała nowoprzybyłemu. Ołena niby wstydna kryła się za swoją matkę. Ekonom dopiero od niedawna zostawał w służbie Generała R., właściciela téj włości — poddani niewiedzieli jeszcze jakiego to humoru człowiek i jakim rodzajem ofiar i cierpień będą musieli wykupywać się od jego prześladowań.

— Wielmożny Panie! — jąkała chłopianka — my winni czynsz zaległy, nieodrobiliśmy naszéj zapomogi, ale da Bóg sprzedać jałówkę na przyszłym jarmarku, wypłacimy się dworowi co do grosza.

Ekonom nieracząc odpowiedzieć, wodził tylko dokoła jastrzębim wzrokiem, jakby spisywał inwentarz téj ubogiéj iścizny, a spostrzegłszy Ołenę dał jéj znak przystąpić bliżéj. Dziewczyna posłuszna rozkazowi stanęła przed nim, drżąca z odwróconą i spuszczoną twarzą, którą jeszcze wstydliwie przysłaniała rękami.

— Niczego macie córkę — trzebaby o niéj pomyśleć — mówił ekonom gładząc ją po jasnych warkoczach i po rumianém liczku.

— To moja podpora na starość, rzekła matka; ona wszystko robi za mnie i w polu i w chacie, bez niéj poszłabym na żebry.

— Pójdźże tu, popatrz mi w oczy śmiało, czy ja taki straszny moja rybko — mówił ekonom ciągnąc ku sobie Ołenę.

— Dajcie już pokój wielmożny Panie, bo to się wstyda, zwyczajnie za piecem wychowane nie zna dworskiego obyczaju — przekładała matka, widząc Ołenę wymykającą się z rąk ekonoma.

Od tego czasu nawiedziny groźnego urzędnika często miewały miejsce. Raz nadto uprzejmy i łagodny przywoził z jarmarku wstążki, któremi obdarzał Ołenę i znowu surowy i srogi groził staruszce, że jéj cały dobytek zagrabi, szyby powyjmuje i piec każe rozwalić w najtęższe mrozy. Ołena z ukosa poglądała na różnobarwne wstążki i niechciała przyjmować, mówiąc: że taki podarunek wzięłaby tylko od swego narzeczonego. Matka zaś z trwogą widziała w przyszłości albo zgubę swojego mienia, albo też hańbę jedynego dziecięcia. Na jéj miejscu niewahałoby się tyle innych matek przyzwyczajonych w poddaństwie znosić podobne krzywdy — lecz ona bez namysłu postanowiła wszystko poświęcić dla uratowania cnoty swéj córki. Ołena była jéj całą nadzieją, jéj skarbem, życiem; gorąco też modliła się w cerkwi do Boga by dziecko jéj od sideł ekonomskich zachował, lub by jéj sił użyczył do zniesienia przeciwności.

W takiem utrapieniu postanowiła udać się do popa, opowiedzieć mu wszystko, żądać błogosławieństwa i rady. Pop był to z tego rodzaju chłodnych i wyrachowanych ludzi, co jeżeli dobrze robią, to nie żeby skarbić sobie zbawienie duszy, lecz w celu zyskania pięknéj sławy, o którą się ubiegają w społeczności. Ekonom był go w czemsiś obraził, teraz trafiała się sposobność odpłacić mu, więc wziął stronę pokrzywdzonéj, przypisując sobie zasługę dobrego uczynku. — Pewny będąc, że wdzięczna kobieta wszędzie rozgłosi jego wspaniałą dobroczynność, pożyczył jéj kilka karbowańców, o które się ekonom dopominał. Tym sposobem sługa dworski, nieśmiejąc otwarcie prześladować rodziny zostającéj pod opieką popa, utaił swoję zemstę i wykonanie zamiaru do sposobniejszéj pory odłożył. Taka pora prędzéj czy późniéj, zawsze przychodzi dla tych, których potrzeby, czynności, życie nawet zawisły od kaprysu lub namiętności drugiego człowieka.

Pewnego też dnia wchodził pan ekonom do chaty Makryny z miną tryumfującą, radość na jego twarzy i złośliwy uśmiech zwiastowały nieszczęście, staruszka niemiała nawet odwagi pytać go.

— Ciesz się Makryno, mówił klepiąc ją po ramieniu, ciesz się stara, twoja córka jedzie do Odessy; pan Generał pisał mi, aby wziąść ze wsi dziewkę pracowitą i przystojną, Ołena pojedzie ze mną.

Makryna cała we łzach rzuciła się do kolan ekonoma zaklinając go na rany boskie, aby jéj niewydzierał jedynéj podpory na starość, ale on niebył łatwy do wzruszenia taką fraszką, raz jeszcze powtórzył ozięble, że taki jest rozkaz dziedzica i że protekcya popa na nic się tu nieprzyda. Sama Ołena znalazła w sobie odwagę kleknąć przed nim i błagać o litość dla matki, która niebędąc w stanie pracować umrze z głodu. Wyraz boleści malujący się na jéj licu, uczucie przywiązania dziecięcego ożywiające każde jéj słowo, zrobiły ją stokroć piękniejszą jeszcze w oczach ekonoma, i tylko podnieciły występną żądzę. Nakoniec, jakby zmiękczony, jakby przyjmujący na siebie odpowiedzialność przed panem wręcz im powiedział warunki haniebnego targu o cnotę dziewczyny — Ołena szlachając na głos, padła w ramiona matki.

Prędko jednakże łzy starła i jakby w wielkiéj boleści znachodząc odwagę, rzekła do ekonoma głosem stanowczym:

— Pojadę! kiedy takie moje przeznaczenie.

— Otóż to rozumnie! odparł ekonom cokolwiek zdziwiony — na posłuszeństwie nikt nie straci; ja sam odwiozę cię do Odessy, a że to kawał drogi, będę miał czas okrzesać cię, abyś się podobała panu.

To rzekłszy pogroził kańczukiem, i kazał jéj mieć się gotową do drogi nazajutrz rano.

Ołena uknuła zamiar. Po odejściu ekonoma wyjęła pierścionek srebrny dany jéj na niezabud od narzeczonego pocałowała go sto razy i przysięgła raczéj zginąć niż złamać przysięgę wierności. Makryna patrzyła na nią z czułością i trwogą; a szanując wolę swego dziedzica, któréj narzędziem był ekonom, niewiedziała nigdzie ratunku, nigdzie sprawiedliwości, tylko w cudzie niebios — dla tego też wznosząc brzemię swych cierpień do Boga, nieśmiała ani mieć nadziei, ani chwycić się ostatecznego środka; istoty ujarzmione niemają prawie innych cnót prócz rezygnacyi.

Wkrótce noc ciemna jesienna otuliła swoim mrokiem tę ubogą zagrodę — jakby niebo z litości niechciało patrzeć na tyle goryczy i niedoli. Na polu i w siole wszystko było cicho, czasami tylko naszczekiwanie psów i pienie kogutów ostrzegały podróżnika zabłąkanego, że na tym ukraińskim stepie mieszkają podobne mu istoty.

Po północku, Olena pewna, że jéj matka usnęła głęboko po wczorajszych zgryzotach, wstała cichuteńko i uklękła przed obrazem. Pomodliwszy się krótko a mocno, chciała raz jeszcze przypatrzyć się łagodnym rysom staruszki.... Ale Makryna niemogąc oka zmrużyć, śledziła każden ruch swéj córki, a domyśliwszy się wszystkiego, siadła na łóżku, wyciągnęła drżące ręce i dawała błogosławieństwo:

— Oleno! gołąbko moja, chcesz uciekać, chcesz sama jedna uciekać do Odessy... Niech cię pan Bóg i matka Najświętsza prowadzą!...

To powiedziawszy, podniosła się, zrobiła mały węzełek z bielizny zawinęła w nim bochenek chleba, kilka sztuk srebrnéj monety, a przycisnąwszy córkę do serca odprowadziła ją aż do wrót chaty i żegnała znakiem krzyża.

— Bywaj mi zdrowa, dziecino — aniołowie pańscy będą cię strzegli — Bywaj mi zdrowa....

Olena raz jeszcze spojrzeniem pożegnała matkę, pożegnała zagrodę gdzie przyszla na świat, gdzie wyrosła, gdzie ukochała swego Fedora... i znikła na manowcu między burzany.

Zaświtał ranek; ekonom pukał do drzwi chaty i wołał grubym głosem: Makryno otwórzcie! — Przed wrotyma stała powózka i trzy ukraińskie bieguny w zaprzęgu.

— Makryno, mówił wchodzący do izby — a co, czy jeszcze niegotowa Olenka?

Staruszka nie dała odpowiedzi, tylko załośnie zaczęła zawodzić. Trudno opisać, ale łatwiéj sobie wystawić w jaką zajadłość wpadł ekonom, dowiedziawszy się po całogodzinném oczekiwaniu i długich groźbach, że Olena niewiedzieć gdzie się podziała; natychmiast kazał całą wieść przetrząsać; rozegnał ludzi w lewo i w prawo, i po sąsiadach rozpisał listy gończe.

Tymczasem Olenka biegła co tchu starczyło, szlakiem odeskim, omijając i tak rzadkie miasteczka i sioła, kryjąc się niekiedy w głębokich jarach i przeklinając krzykliwe czajki, które ją mogły zdradzić krążeniem swojem nad jéj głową. Niekiedy przyszedlszy na rostajne drogi, obierała najszerszą, najwięcéj ubitą, przypuszczając, że ta musi prowadzić do wielkiego miasta. Tak uciekała biedna Rusinka przez resztę nocy, przez cały dzień aż do późnego mroku; aż zmęczona, upadająca na siłach miała zamiar do drzwi jakiéj ziemlanki zapukać o gościnność, ale obawa być schwytaną, odprowadzoną do wsi i osieczoną rózgami za włóczęgę, wstrzymała ją od tego kroku; wspomnienie ukochanego Fedora dodało jéj sił i znowu uciekała daléj. Ubiegłszy jeszcze kilkanaście wiorst, taka ją ciemność ogarnęła, tak nogi ustały, że niemogła jednego kroku postąpić i szczęściem przy drodze stała bita, opuszczona karczemka; tam się zawlekła i prawie nieżywa padła na wiązkę zostawionéj słomy.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca zbudziły ją ze snu, który przywrócił siłę członkom, a umysłowi odwagę; już się zabierała do dalszéj podróży, gdy westchnienie pochodzące z kąta, ostrzegło ją, że nie jest sama. Przestraszone spojrzenie powiodła do koła, serce zabiło gwałtownie w piersi, ale wnet uspokoił ją widok starca okrytego łachmanami, który tam, gdzie i ona szukał przytułku nocnego. Siedział on na ziemi i kawałkiem kory naprawiał podarte obuwie. Długa, siwa broda spadała mu na piersi, a przez wyłysiałe czoło szła długa i szeroka blizna. Olenę wzruszyła wspólna niedola, zbliżyła się do starca i rzekła podając mu pieniądze zawiązane w końcu chustki:

— Ojcze! podzielcie się ze mną tym groszem, ja młoda i zdrowa będę mogła sobie zarobić. Podzielcie się ze mną tym kęsem chleba, możeście głodniejsi odemnie.

Starzec z podziwieniem patrzył na dziewczynę:

— Bóg ci zapłać, dziecko moje — rzekł rozrzewniony — stary i kaleka, żebrzę teraz na téj ziemi za którą się biłem.... pukałem do wrót panów i odepchnęli mię z pogardą; pukałem do biednych chatek i zawsze miłosierdzie spotykało mię u proga.

Podzieliwszy się chlebem, dziewczyna usiadła obok niego, wypytała dokąd idzie, i powoli, nabrawszy zaufania opowiedziała mu przyczynę swojéj ucieczki i dalsze zamiary. Żebrzący żołnierz ciągnął także do Odessy; zgodzili się zatém odprawiać podróż w towarzystwie, co bojaźliwéj dziewczynie bardzo było na rękę, bo starzec znał drogę i wszędzie miał łatwy przystęp.

Za przybyciem do miasta, oczy Ukrainki, nawykłéj tylko do szerokiego stepu, olśniły prawie od widoku spaniałych gmachów, bogatych sklepów, mnóstwa ludu mówiącego obcym językiem; okręty w porcie zdały jéj się lasem ogołoconym z liścia, a morze drugiém niebem na ziemi. Zapomniała zrazu co ją tam przywiodło, dopiero starzec jéj przypomniał i wypytywali się oboje o mieszkanie generała R. — Gdy im takowe wskazano, u bramy wspaniałego domu rozstała się dziewczyna z poczciwym weteranem; ale długo, długo niemogła przestąpić progu, za którym Bóg wie, co ją jeszcze czekało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Prelekcye Mickiewicza.

Lekcya dziewiętnasta.

Autorowie Stanisławowscy. — Zdrajcy.

(Ciąg dalszy.)

Mickiewicz skreśliwszy pokrótce pisarzów epoki Katarzyny i Stanisława Augusta; powiada o nich— a to się tylko do polskich stósuje — że niepojęli całego znaczenia walki, któréj byli świadkami, że ich można oskarzać o płochość, niedbałość, o przyczepienie się do idei cudzoziemskich, i że straszliwie odpokutowali za te winy. — Gdyby ci pisarze byli tém czego chciał po nich Mickiewicz, to jest, żeby przełamawszy nałogi wieku, doktryn i narodowego zepsucia, rzucili się z pojętą ideą narodową na czoło narodu, zapewne nieopłakiwalibyśmy dziś upadku Polski. Ale któż takie stawiać będzie wymagalności. Pisarze, to kwiat narodu, mogąż te kwiaty być zdrowe, gdy soki pożywne narodu, któremi żyją i rosną, są zepsute? Polska dążyła do upadku, wszystkiemi drogami, w ogólném zepsuciu i oślepieniu, sama oświata i literatura wiodły do upadku, same intencye i reformy ku poprawie stanu rzeczy prowadziły do upadku, jak to z przytoczonych przez autora reform stosunków włościańskich wypada, które obywatele, jako to: Czartoryscy, Chreptowicz, ksiądz Brzostowski, Staszyc i Wiażewicz, na własnych dobrach i w najlepszych chęciach podejmowali. I nic dziwnego, bo jak o Rzymie powiada Liwiusz, rzeczpospolita do tego już doszła stopnia rozprzężenia, że i zepsucia i uleczenia znieść niemogła; *ad haec tempora perventum est, quibus nec vitia nostra, nec remedia pati possumus.*

Na spodzie tego wszystkiego złego została nadzieja w lepszą przyszłość, wiara w przyszłość Polski niezachwiana, karmiona czy to instynktem przenikającym przyszłość, czy téż religijnem życiem narodu. Massa ludu, a i szlachty nawet wśród upadku i socyalnego zepsucia, zachowała czystość wiary. Jak męczennicy pierwszych wieków, których ćwiartowano, upadła Polska w nabożeństwie i z żywą wiarą do Boga, i dla tego jak owi męczennicy, ma wiarę w zmartwychwstanie. Nigdy inaczéj Polacy nieszli do boju, jak śpiewając hymn Boga rodzicy, i w najnowszych czasach jeszcze, wołając »Sława Bogu« uderzali i padali pod grotami nieprzyjaciół. Tak kraj cały upadł w religijnéj rezygnacyi i upadając śpiewał pieśń otuchy i nadziei swojej.

Ta wiara tliła i w pisarzach naszych, za upadku kraju, ale przed obczyzną i dworszczyzną, ani była tak silną, ani pojmowaną i ocknęła się dopiero w ten czas, gdy w płomieniach Pragi znikły złudzenia, wiara zbyt słaba ustąpiła rozpaczy i dla tego stało się, *»że ostatnie karty literatury stanisławowskiéj są najtragiczniejsze w historyi słowiańskiéj. Jest to orszak pogrzebowy, odprowadzający ojczyznę do grobu: wszyscy ci pisarze pomarli w żałobie i rozpaczy.«* — *»Podobni oni są do tego rodzaju obłąkanych, co przez całe życie nieprzytomni, na czas jakiś przed zgonem odzyskają pojęcie, przypominają wszystko, widzą, że byli w szaleństwie i umierają zapłakawszy nad sobą.«*

Na czele poetów rossyjskich téj epoki stoi Dzierzawin, piewca czynów wojennych Suwarowa i autor ody na wzięcie Warszawy. Sądziemy, że Mickiewicz zanadto mu zrobił zaszczytu, robiąc go reprezentantem idei carstwa i ztąd tłómacząc jego potwarze przeciw Polakom i Francuzom. Był to prosty służalec dworu, nastrajając swą lutnię, jak kto chciał, schlebiacz Katarzyny w daleko wyższym stopniu, bo z ujmą godności własnéj, niżeli poeci Stanisława. Wszakże sam Mickiewicz przytacza przykład tego schlebstwa: *»Kiedy Katarzyna uderzała na Polaków w obronie zasad demokratycznych, Dzierzawin w odach potępiał cezara, który wywracał wolność swego kraju; a znów potém, gdy trzeba było złorzeczyć Francyi, przeklinał Brutusa, jako Jakubina.«*

To tylko pewna, że Rossya w czasie tryumfów swoich była pełna natchnienia wielkości swojéj, i że z takiego natchnienia mógł Dzierzawin powiedzieć: *»Na czto tiebie sojusz? — O Roś! Szagni — i wsia twoja wsielenna.«* (Rossyo! daj krok naprzód! a cały świat będzie w twém ręku.) Równie i to prawda, co się z powyższego tłómaczy, *»że przeciw takiéj myśli Polska za czasów wyrznięcia Pragi nie miała nic postawić.«*

Mickiewicz przechodząc następnie pamiętniki Kilińskiego i skreślając z nich jego piękny charakter, wynosi między innémi i to, *»że on jeden nieoskarza nikogo, tłómaczenia nieszczęść Polski nieszuka w zdradzie.«* To autora prowadzi do zastanawiania się nad tą fatalnością, która ciągnie Polaków do oskarzania się wzajemnego o zdradzanie sprawy. Uważa, że tylko Polacy i Francuzi zarzucają naczelnikom i współobywatelom swoim tę zbrodnię, że ani starożytność, ani Anglia, ani Rossya niemiały zdrajców w tém znaczeniu. Z tego wnosi, że w tém jest dowód wielkiego posłannictwa, które Opatrzność Polsce i Francyi przeznaczyła.

Mickiewicz pojmuje zdradę w ten sposób: *»zdra-*

dzić, jest to opuścić ideę trudną do spełnienia, dla korzyści dotykalnych.« — Mybyśmy powiedzieli, co jest ogólniejsze i dla tego prawdziwsze, że zdradzić, jest opuścić rzeczy boskie dla rzeczy ludzkich. Ponieważ rozdział rzeczy boskich i ludzkich dopiero Chrystyanizm wprowadził, dla tego zdrada w tém znaczeniu dopiero jest pojęciem chrześciańskiém i ma pierwszy przykład w Judaszu. To wyobrażenie przeszło do wszystkich narodów chrześciańskich, dopóki w nich prawa cezara i prawa Boga były osobne, wyrobiło się w wojnach krzyżowych, gdzie walczono za sprawę Boga i musiało się zatrzeć tam, gdzie jak w krajach protestanckich i w Rossyi, władza najwyższa świecka i duchowna, zebrała się w jednéj osobie. Narody te więc nieznają co to jest zdradzić sprawę, ale wiedzą, co to jest zdradzić cara i monarchę. Z tego jedynie, tłómaczy się Dzierzawina oburzenie na Francuzów *»ruki na cara podniat'«*. W Polsce i we Francyi, jak słusznie uważa autor pełno zawsze było zdrady, niewytłómaczył nam tego autor, bo idea jego, była jakaś trudna do spełnienia, ale bez treści. — Kiedy we Francyi wywrócono ołtarze, idea narodowości stała się religią, bożyszczem. Cześć jéj religijną Napoleon zamienił na chwałę narodową (la gloire). Francya więc od rewolucyi występowała zawsze w sprawie narodowéj, która zastąpiła ideę czysto boską i dla tego niedopełnienie obowiązków téj sprawie poświęconych nazywano zdradą. Zupełnie inaczéj działo się w Polsce. Tu niezastąpiono idei boskiéj, ideą narodowości, ale zlano obie idee w jedną nierozerwaną. Odkąd królowa nieba stała się królową polską i odkąd królowie oddawali kraj swój w opiekę Boga i Najświętszéj Maryi Panny, odtąd religia i narodowość było jedno; bić się za kraj swój, było bić się za Boga, miłość Boga, w którego ojcowie wierzyli, była jedna z miłością ojczyzny. Dla tego mógł w dobréj wierze Pułaski krzyknąć zdrada! i naród wiedział i wie, co czyni, gdy za nim powtarza zdrada! Jak dla Boga, tak dla ojczyzny trzeba zrzec się dóbr tego świata, kto to czyni jest patryota. Konfederacya barska, Kościuszko, legiony będą wiecznie jaśnieć w świetle miłości ojczyzny i patryotyzmu. Ale kto szuka prywaty i zysku, sławy swojéj nie sławy polskiéj, szuka obcego, nie Boga przodków swoich, opuszcza sprawę narodową z bojaźni, braku poświęcenia lub oziębłości — ten zdrajca. — Przejdźmy imiona tych wszystkich, których naród upiętnował jako zdrajców, a przekonamy się, że ich z tego stanowiska uważał i osądził.

Zdrajcą a raczéj apostatą nakoniec jest i ten, który stracił wiarę w sprawę narodową i nie dla zysku i widoków, ale z przekonania powiedział sobie, naród mój to trup, tam już niema Boga, ja do innego narodu należeć muszę. W tém znaczeniu przedstawia literatura polska klassę pisarzy zdrajców ojczyzny, którzy zapierają się imienia i religii swego kraju. Nie sądzimy tylko żeby to było zjawisko nieznane nigdzie indziéj. Zjawisko to zdarza się wszędzie w upadku narodu, a bardziéj jeszcze po jego upadku, dowodem tego pisarze restauracyi francuzkiéj — Autor w słuszném oburzeniu przeciwko tym apostatom, *»co hańbią historyą, szkalują obyczaje, czernią charakter narodu, wściekają się na wiernych synów Polski, żeby uniknąć prześladowania, albo pozyskać względy ciemiężców«* — wymienia najgłówniejszych, co zatknęli chorągiew tego odstępstwa.

Słuszna zapewne i sprawiedliwa jest, wytknąć narodowi zdrajców z imienia, i podać na ohydę; ale że to jest dekret śmierci, jaki się na nich rzuca w opinii publicznéj tak żyjących, jak potomnych, dekret, który ma być zapisany w dziejach narodu; — należy dobrze zbadać akta, ażali taki wyrok jest uprawniony. Niepojmujemy w istocie jak się Wacław Maciejowski dostał do kategoryi. Może, że się jego badania starożytności słowiańskich spotkały z myślą słowiańszczyzny, któréj reprezentantem mieni się być Rossya, może że ztąd nawet spłynęły nieszukane względy na autora, — atoli biorąc pisma jego do ręki nie natrafiamy żadnego śladu zdradzenia sprawy narodowéj, przez fałszowanie albo umyślne nakręcanie historyi. Nie widzimy nic, jak chęć rozświecenia rzeczy słowiańskich, i niektóre śmiałe wnioski i hipotezy, na które się może nie każdy zgodzi, ale które nikt, o umyślną zdradę nie obwini. — Nie natrafiamy w pismach, ani na jedno zdanie takie jakie autor z Karpińskiego z wiersza przeciwko pojedynkom przytoczył, a przecież Karpińskiego w rzędzie pisarzy zdrajców nie pomieścił. — Raz jeszcze powtarzamy, że nie pojmujemy tak dorywczego sądu Mickiewicza, na męża który zawsze położył znaczne zasługi w literaturze ojczystéj. Winien to będzie Mickiewicz własnemu sumieniu, winien narodowi, aby albo sąd ten odwołał, albo go uzasadnił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIEŚNI LUDU POLSKIEGO

przez

Oskara Kolberga.

Pieśni pomienione, zapowiedziane prospektem, umieszczonym w piśmie naszém No. 18. wyszły w tych dniach z litografii Kurnatowskiego, nakładem księgarni Żupańskiego. Poświęcił je autor Wacławowi Zalewskiemu, Józefowi Konopce, Władysławowi Wojcickiemu, Żegocie Pauli, niezmordowanym współpracownikom w odgrzebywaniu skarbów umysłowych ludu. Bo też pan Oskar Kolberg w obliczu ziomków bierze drugą połowę zasługi. Pieśń, a mianowicie pieśń ludu, żyje słowem i śpiewem, słowa to ciało pieśni, a melodya jéj duszą. Jeżeli myśl ludu wyda się w słowie i ma dla tego wartość pod względem literatury, w melodyi wylewa się uczucie ludu, i pieśń z piersi jednéj wydobyta brzmi całém życiem, całą duszą ludową. Pieśni ludu naszego mają w melodyi coś tak właściwego, tak ściśle spojonego z sercem i umysłem ludu, że tych uczuć z głębi duszy płynących, żaden instrument oddać nie potrafi, tylko śpiew je odda z tych samych głębi i tajni wydobyty, témi samémi uczuciami ożywiony. W tych tonach i melodyach przechowują się te uczucia, którémi naród żył i oddychał, on je wyrobił piersią swoją i złożył w nich wszystkie przygody życia swojego, swoje szczęście i nieszczęście, wypowiedział niemi co go smuci, co go dolega, co go unosi i zachwyca radością. Zgoła narodowość uczuć pierwotnych, ojczystych, złożoną jest w śpiewach ludu. Z nich, jak z poezyi gminnéj, narodowa poezya sączyć i czerpać będzie muzyka narodowa, jaką już Chopin stwarza. Z tych melodyi ludowych, jak z kastalskiej hypokreny, pić musi zachwycenie każdy kompozytor nasz narodowy, one mu w duszy wdzięczyć muszą, aby ją nastroiły na narodowe dźwięki.

Z téj strony uważana praca pana Oskara Kolberga jest wielkiéj wartości, aby ją rodacy należycie ocenić i wspierać zechcieli. — Pierwszy zeszyt zawierający 24 pieśni z różnych okolic Polski odznacza się i melodyą i poprawnością w kompozycyi. Niechby autor tylko zawsze miał na uwadze, że idzie tu o to tylko, aby śpiew ludu jak najwierniéj był oddany, że zatém wszelkie zdobywanie się na sztukę, wszelkie dodatki na koszt wierności i prostoty w oddaniu melodyi ludowéj nie są na swojém miejscu. Przegrywki wydają nam się za niestósowne, końcówki melodyi zakrawają czasem na coś obcego np. w pieśni 13téj; bas za sztuczny i mało zbliżony do wiejskich tonów, które w kompozycyach Chopina, właśnie w basie tak silnie uderzają. Niewypowiedzianie piękne są melodye »Idzie żołnierz borem, lasem« od trzech stron różnych Polski od Prasnycza, Opatowa i Wielkopolski. Słyszymy tę samą rzewność i tkliwość, ale w rozmaitym stopniu. Najwięcéj śpiewności i muzyki mają Małopolanie od Opatowa, zbliżeni już do Rusinów. Życzymy z serca tak pięknemu przedsięwzięciu najlepszego powodzenia, ile że i zewnętrzna ozdobność i poprawność wydania, zadowala zupełnie.

ROZMAITOŚCI.

Według doniesień gubernatora Jonkopings Lehnu w Szwecyi, szerzy się w kilku parafiach Smalandii osobliwszy rodzaj szału religijnego między wieśniaczkami, w wieku od 10 do 12 lat. Występują jako prorokinie, oświadczają, iż duch święty na nie stępuje, widzą w czasie snu rodziców i rodzeństwa, otwierające się niebo i piekło, wymieniają osoby, które w nich widzą, opisują ich cierpienia i wesele, napominają przytomnych do niezwłócznéj pokuty i nawrócenia, i kończą rzeczy opowiadaniem o nadchodzącém skończeniu świata. Ogromna liczba słuchaczy zgromadza się z stron dalekich i tysiącami odwiedza prorokinie, biorąc słowa ich z ślepą wiarą, gardząc zaś napomnieniami duchownych Niektóre z tych dziewcząt każą dwa razy na dzień, po ustąpieniu szału zachowują się spokojnie i nie różnią się ani zabawami, ani umysłem od innych. Skoro zaś szał je ogarnia, wszystkie członki drżą gwałtownie i kazanie się rozpoczyna. Władze dochodziły ściśle téj rzeczy i przekonały się, że w tém niezachodzi oszukaństwo, bo żadnych nieprzyjmują darów. Lekarze uznali szał ten za prawdziwą chorobę, w najwyższym stopniu zaraźliwą, bo jak się pokazało, iż zdrowe przysłuchując się tym kazaniom dziewczęta, w ten sam szał wpadały. Rząd stara się zapobiedz szerzeniu się téj zarazy i rozkazano lekarzom leczyć prorokinie. Wiele z nich przeniesiono do lazaretów i uzdrowiono zwyczajnemi środkami. Ale w miejsce uleczonych mnóstwo nowych powstaje, mimo zabiegów oświeconych duchownych, egzaltacya ta szerzy się coraz więcéj. Wieśniacy oburzają się środkami, jakich rząd się chwyta, mówiąc: że jest bezbożnością używać tam lekarstw, gdzie Bóg swe dzieło objawia. — Podobna choroba szerzy się między wychodzcami naszymi we Francyi, gdzie prorok Towiański razi najlepsze nawet głowy, egzaltacya i u-

czucie zastępuje u nich rozum. Wierząc mocno w to, iż ludzie i świat kilka razy koleje te same przechodził, przypuszczają duchy białe i czarne, żydom przypisują najwięcéj ducha białego i z tego powodu dopatrują w swych matkach, ojcach, dziadach lub pradziadach, przechrztów i żydów, aby mieć w sobie jak najwięcéj białego ducha. Dla tego staruszek Pszonka szeroko rozprawia o téj chorobie, widzi tę przez nowych proroków przypuszczaną metempsychosis, poznaje teraźniejszych dygnitarzy dawniejszemi puchaczami, lisami, skowronkami, krokodylami i t. p., którzy po upływie lat wielu, wrócą do dawnych postaci. Dodać należy, że choroba ta zaraźliwa jest teraz w swojéj kulminacyi i doszła liczby 44.

W czasie rozpraw sądowych w Paryżu stanął prezes towarzystwa utworzonego w celu wypożyczań bielizny stołowéj. Słuchany był jako świadek i powiada, że przedsiewzięcie pod jego kierunkiem zostające, wypożycza dziesięć tysięcy serwet na dzień, z których w przecięciu codzień od dwieście do czterechset kradą.

Besançon jest jedném miastem, które może być porównane ze sławnemi fabrykami zegarków w Genewie i Neufchatel; wyrobiono bowiem w tém mieście w roku zeszłym 4,948 złotych i 44,912 srebrnych zegarków.

Podczas wielkiego pożaru w Liverpool zabawny wydarzył się przypadek. Z jednego spichrza palącego się wyrzucono mnóstwo spalonéj kawy na ulicę. Woda użyta do gaszenia lała się strumieniami wrzącemi wraz z rostopionym cukrem przez szczeliny murów rospalonych i mieszała się z przepaloną kawą; ztąd powstała kawa do picia. Lud zaledwie to spostrzegł, cisnął się z naczyniami, czerpiąc i pijąc ugotowaną i osłodzoną kawę na ulicy.

Na polach Wiveliscomte zaczęto sprzątać pszenicę o godzinie 8 zrana, część zwieziono, wymłocono, na młynie zmełto, upieczono, na pole wywieziono i tam o 5 godzinie tegoż dnia jedli zniwiarze chleb pszenny, zanim resztę pszenicy zerznięto. Nie dosyć na tém właściciel tego pola, bankier Hancock rozkazał ze słomy wymłuconéj kapelusze upleść i rozdał je pomiędzy żniwiarzy.

(Somerset Gazette.)

Sławny zegar w Strasburgu. Zegar ten chciano w bieg puścić na nowo po wielu latach dnia 28. Września, w czasie pobytu w tém mieście, towarzystwa naturalistów. Cztéry lata trudnił się naprawą tego zegaru pewien zegarmistrz. Zegar ów jest najsławniejszym w Europie. Skazuje z całą ścisłością odmiany naszego słonecznego systematu. Siedem figur przedstawia siedem dni tygodnia i każda z nich występuje w dniu dla niéj przeznaczonym. Cztérech starców występuje co kwadrans, a śmierć co godzinę i uderzają kwadranse — godziny. O dwunastéj godzinie wychodzi porządkiem dwunastu Apostołów, oddają pokłon Zbawicielowi, który ich błogosławi. W téj chwili uderza kogut skrzydłami i po trzykroć pieje.

Świecąca chora. Doktor Sir Henry Marsh opisuje szczególniejsze zdarzenie. Spostrzegł on u Lady A. kilka dni przed śmiercią pewne światło wychodzące z jéj twarzy, otaczające późniéj głowę całą. Światło to, mówi lekarz, było szczególniejszego rodzaju, koloru srebrzystego, nakształt księżycowego na wodzie. Światło to trwało godzinę, twarz jaśniała dziwną bladością, a łyszczenie poruszało się w podskokach. Światło to widziały dwie służące na twarzy swéj pani już od dni kilku i późniéj przypatrywały się przez trzy wieczory inne jeszcze osoby, tak iż o tém zdarzeniu wątpić nie można.

Parlament Murzynów. Misyonarz Moffat wydał dzieło o ludach południowéj Afryki i opisuje publiczne rozprawy tych dzikich, które mają niejakie podobieństwo do rozpraw izb w konstytucyjnych państwach. »Rząd Beszuanów i wszystkich tych dzikich narodów«, mówi autor, »jest razem monarchiczny i demokratyczny. Władza wielkiego naczelnika czyli króla jest ograniczona. Nie raz się zdarza, iż na publiczném zgromadzeniu występuje mówca i wręcz królowi czyni wyrzuty. W mojéj przytomności zarzucał królowi jeden mówca, że kobiety porobił senatorami i swoją żonę pierwszym ministrem. Potém wskazał na otyłość króla i zawołał na zgromadzenie: »Powiedzcie czyli on nie jest otyły? Nie jestże ta otyłość ciała najlepszym dowodem, że mało się zatrudnia sprawami swojego ludu?« — Król rozpoczyna rozprawy jak w naszych konstytucyjnych krajach, krótką przemową, nie pozostawia obrony rządu swego ministrom, ale sam odpowiada na zarzuty swych przeciwników. To wreszcie dodać należy, że na tych zgromadzeniach nie uraża ją się opozycyą i wszyscy rozchodzą się zadowoleni.

Niewidomy. Przed sędzią pokoju w Paryżu stanął przed kilku dniami lekarz, który niewidomego zaskarżył. Ostatni prowadzony przez swoją żonę wszedł ostrożnie do izby sądowéj, trzymając kij przed sobą. »Żądam od tego człowieka«, rzekł lekarz, »60 franków za leczenie.« Na zapytanie sędziego, dla czego niewidomy nie chce płacić, odpowiedział: »jestem biedny niewidomy. Pan doktor przyrzekł mi przywrócić wzrok, wystawić za to weksel dla mnie na 250 tal. byle bym się dał jemu le-

czyć w jego własnym domu. Dwieście pięćdziesiąt franków, wolne mieszkanie i stół, za to można dać się leczyć. Przyjąłem wezwanie. Cierpienia moje się powiększyły i żądam wynagrodzenia. Ja teraz zupełnie zaniewidziałem.« — »Przecie dawniéj także nie widziałeś«, odrzekł sędzia pokoju. »Nic to nie szkodzi, teraz jeszcze mniéj widzę.« — »Nie chciałeś się poddać moim rozporządzeniom«, rzekł lekarz. »Prawda, o tém też nie było mowy, tylko o 250 frankach, wolném mieszkaniu i wyżywieniu. Jakim więc sposobem żądać może pan doktor odemnie 60 franków?« — »Jako małe wynagrodzenie za koszta utrzymania. Gdybyś dał się wyleczyć, byłbym ci zapłacił summę przyobiecaną.« — »Chwytam pana za słowo. Przyrzekłeś mi wynagrodzenie przy świadkach. Tak dobrze widzę, jak pan doktor.« (Przytomni śmieją się) — »To być nie może«, rzekł lekarz. — »Widzę twarz pana zmienioną od kłopotu«, nadmienił oskarzony. — »Ten człowiek mnie oszukał« rzekł lekarz, »udawał niewidomego.« — Uwaga tak rozgniewała oskarzonego iż rzekł: »Pan wiedziałeś tak dobrze o tém jak i ja i dla tego przyrzekłeś mi nagrodę, abyś się potém mógł przechwalać, żeś wyleczył biednego niewidomego.«

MODY. — Paryż, dn. 3. Października 1842. Między tkaninami, które się teraz ukazały i wielki szereg nowości zapowiadają, szczególniéj odznaczają się lśniące, marmurkowe pekiny i grosdetoury, na których mnóstwo znajduje się bukietów, niemniéj śliczne gros d'Afrique w połysk mieniący, grosdenaple, gros de Chine, lewantyny kratkowane i t. d.

W czasie naszym między latem a zimą, nic zbytkowego się nie ukazało i dla tego ograniczamy się na wyliczeniu przedmiotów, które nam w oczy wpadły, np. kapotki aksamitne, z tłem perłowém, a połyskiem różowym, z marabutem odpowiednim i różami pod obwodem, czepeczek blondynowy, z wstążką zieloną i girlandą geranii, stroik blondynowy, różami zdobny; kloryndy czyli otwarte stroiki z czarnych koronek, tu i owdzie winogronem przeplecione.

Mówią wiele o płaszczach damskich, które w tym roku bardzo będą obszerne. Napół lub całkowicie watowane kryspiny będą także obszerne i suto haftem, burtami czyli pasamonami opatrzone.

Ubranie na rano. Szlafroczek z cielistéj flaneli w brunatną kratkę, na plecach i przodzie stanika bardzo obszerny, na jeden pasek ściągany. Rękawy à la Louis XIII., niebieska podszewka, koszulka amazońska z kołnierzem purytańskim. Czepeczek jaconetowy w kształcie bretańskim, oszyty wązką koronką walensiańską.

Ubranie na odwiedziny. Kapotka aksamitna w kolorze perłowym, z marabutem i odpowiedniemi wstążkami, obcisłe rękawy; długi, obszerny powłok, tworzący małe rucho; kryspina z aplikacyi, na szpinkę diamentową zapięta: chusteczka z okrągłym kołnierzem z brukselskiéj aplikacyi, rękawy molierowskie także z aplikacyi. Chustka w ręku batystowa z haftem przezroczystym, oszyta koronką welensiańską. Bóciki atłasowe.

Ubiór balowy na wsi. Cokolwiek wysoki strój włosów z plecionek i muszli, daliami przepleciony. Okrągło bufkowane muszelki (zawsze rozumie się, iż mówimy o kształcie splotów muszelkowatym) bardzo się podobają na wsiach. Suknia z malowanego tarlatanu na spodnicy grosdenaplowéj; stanik w snopeczki ułożony. Rękawy à la Pompadour, aż do łokci zachodzące i orzucone paryskiemi koronkami à la »bons hommes.« Długi szal prawdziwy kaszemirowy. Bóciki grosdenaplowe. Bukiet i wachlarz.

Na ranne ubranie biorą lewantyny w paski, gros lugduńskie i belgerinny. Na wieczorne mniéj strojne wzięcie, lśniące gros de Chine i crepons. Na toaletę wieczorną lśniące pekiny, repsy, mory i pekinowane aksamity. Na bale damast-pekiny, damasty à la Louis XV.

Peleryny noszą teraz z tyłu bardzo długie, z przodu pół otwarte.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapotka z wysokim wystrojem kwiatów i wstążek. Szlafroczek z mieniącego jedwabiu, z gładkim stanikiem, otoczonym dwoma małémi kołnierzami. Rękawy obcisłe, od łokcia ku ręce guzikami ozdobione. Garnirunek z czarnych koronek i wielkich guzików.
2. Kapotka jak u 1. Szlafroczek kaszemirowy z peleryną kardynalską. Kibić otacza opaska. Guziki z przodu i pasamony à la Coque.
3. Kapotka aksamitna, zdobna kwiatami. Suknia z mory. Płaszczyk (camail) z przerabianéj tkaniny z małym kołnierzem i długą fręzlą.
4. Krótki surdut z szerokim kołnierzem. Pantalony w jasnym kolorze.
5. Surdut z kołnierzem aksamitnym. Pantalony w kratkę. Kamizelka zapięta na dwa rzędy guzików.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*


A. Brückner sc: